Nr. 9. We Lwowie, wrzesień, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki We wrześniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, z wyjątkiem zajęcy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 3 złp., równająca się wrazie zapłaty w ciągu września 120.000 Mkp.

Prenumerata na III-ci kwartał 1923 wynosi 1½ złp., równającego się wrazie zapłaty w ciągu września 60.000 Mkp. — Ceny ogłoszeń: cała strona 1,000.000, ½ str. 500.000, ¼ str. 250.000, ⅛ str. 125.000, 1/16 str. 75.000, 1/32 str. 40.000 Mkp. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, p. III. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

NADZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE

CZŁONKÓW MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 12. WRZEŚNIA 1923, O GODZ. 3-CIEJ POPOŁUDNIU, W MAŁEJ SALI TOWARZYSTWA KREDYT. ZIEMSK., UL. KOPERNIKA L. ..., Z NASTĘPUJĄCYM PORZĄDKIEM DZIENNYM:

1. WYBORY UZUPEŁNIAJĄCE JEDNEGO CZŁONKA WYDZIAŁU I DWÓCH ZASTĘPCÓW;
2. WYBÓR KOMISJI REWIZYJNEJ;
3. WNIOSKI I INTERPELACJE.

Sekretarz
INŻ. WŁADYSŁAW DANEK

Prezes
JULIUSZ hr. BIELSKI

Mał. Tow. Łow. tudzież redakcja i administracja „Łowca" mieszczą się w nowym lokalu ul. Ossolińskich l. 11, III p.

F. ROŻYŃSKI i Dr. E. SCHECHTEL.

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju.

(Praca odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Pol. Tow. Łow.)

(Ciąg dalszy).

A zatem bardziej zbliżone do rzeczywistości poprawne zestawienie takby wyglądało (oczywiście i ono jest hipotetyczne, skoro nie mamy ustalonych granic):

Ziemie	Rok	Obszar ogółem	Ziemia orna	Łąki pastw.	Lasy	Ogrody budyn. nieużyt.
		w tysiącach hektarów				
Królestwo Polskie .	1909	12.286	6.921	1.815	2.218	1.332
Litwa i Białoruś . .	1887	17.169	5.486	2.743	5.486	2.454
Poznańskie . . .	1913	2.899	1.845	301	578	174
Prusy zachodnie . .	1913	2.556	1.435	295	584	242
Rej. Olsztyńska . .	1913	1.203	607	187	260	149
Rej. Opolska . . .	1913	1.323	748	116	382	78
Galicja	1896	7.849	3.807	1.646	2.015	381
Śląsk Cieszyński . .	1896	223	107	36	70	10
Spisz i Orawa . . .	1896	1.000	550	150	250	50
Razem . .		46.508	21.506	7.289	11.843	5.870

Na tych obszarach należałoby hodować taką ilość odpowiedniej zwierzyny, która stanowiłaby maksimum tego, co hodowanem i utrzymanem być może, bez powodowania widocznych szkód, a zatem i strat materjalnych: w polach rolnictwu — w lasach leśnictwu. W poniższych tabelkach zaś obliczamy, ile możnaby odstrzelić rocznie zwierzyny bez szkody dla zwierzostanu, a więc, jakąby można osiągnąć rentę, przyjmując za miarę realne wyniki osiągnięte w tych krajach austrjackich, które stoją najwyżej pod względem łowieckim, z uwzględnieniem jednakże warunków przyrody kraju naszego i powierzchni ziemi w Polsce, którą przyjęliśmy, jak wyżej, na 46,508.000 ha. Uważaliśmy za stosowne oddzielnie traktować zwierzynę nadającą się na konsumcję, dla uwidocznienia znaczenia łowiectwa dla aprowizacji, a osobno resztę, przedstawiającą wartość tylko sportową i przemysłową. Ponieważ zwierzyna, nadająca się do konsumcji, jest równocześnie prawie bez wyjątku zwierzyną pożyteczną „kulturalną“, więc i tę tabelę opatrzyliśmy takim tytułem, mimo, że wliczyliśmy i tu dzika, który jest wybitnym szkodnikiem w rolnictwie.

Niektóre pozycje w poniższych tabelkach liczyliśmy wyżej, względnie niżej od dat stwierdzonych dla wysoko w kulturze łowieckiej stojących krajów austrjackich, a to uwzględniając warunki przyrody kraju naszego i politykę łowiecko-gospodarczą.

Stan niektórych zwierząt bowiem nie może być podniesiony bez szkody dla gospodarstwa rolnego lub leśnego (jeleń, dzik), inne zwierzęta są znacznie liczniejsze u nas, niż zagranicą (lis).

Tak n. p. ilość jeleni na 1.000 ha, przyjęliśmy tylko 0·15, mimo, że kraje naddunajskie wykazały w roku 1908 5·33 sztuk na tej przestrzeni, a nawet kraje północno-zachodnie (Czechy, Morawy), niezbyt obfitujące w tę zwierzynę, 1·11 sztuk na 1.000 ha. Uczyniliśmy to dlatego, że jeleń jest niestety szkodnikiem, zarówno w gospodarstwie rolnem jak i leśnem i może być tolerowanym bez szkody tylko w niewielkiej ilości na terenach w dobrej kulturze, w większej zaś liczbie może się utrzymać tylko w bardzo dużych obszarach leśnych, prymitywnie zagospodarowanych. Wzięliśmy też za podstawę obliczenia ilość stwierdzoną dla krajów austrjackich północno-wschodnich. t. j. dla byłej Galicji i Bukowiny. Ilość ta jest wprawdzie z całą pewnością za nisko podaną, ale tam i w tej ilości jest on z pewnością nieszkodliwy i możnaby ją przyjąć za normę przyszłego rozsiedlenia jelenia w Polsce. Obecny stan jelenia w całej Polsce będzie z pewnością znacznie niższy. Podobnie uwzględniając warunki fizjograficzne kraju, przyjęliśmy ilość jarząbków i gęsi, mniejszą niż w krajach austrjackich, a natomiast ilość lisów dwa razy większą. Co do tych ostatnich, to ilość przyjęta jest raczej za niska, niż za wysoką, gdyż nasze zwierzostany ogromnie obfitują w tego szkodnika. Tereny, na których odstrzał roczny lisów na 1.000 ha osiąga cyfrę 20, nie są wcale rzadkością. Wogóle należy zaznaczyć, że ceny stwierdzone nawet dla najlepszych krajów austrjackich, nie oznaczają jeszcze ideału; są one tylko dobrą przeciętną. Jednakże poszczególne cyfry, n. p. co do ilości tych typowo „kulturalnych“ zwierząt, jak kuropatw i zajęcy, były niejednokrotnie i znacznie przewyższane u nas w pojedyńczych rewirach, mimo ogólnego bardzo niskiego stanu hodowli. Nie ulega kwestji, że można osiągnąć bez szkody dla rolnictwa jeszcze znacznie wyższą przeciętną, niż ją notują dla najlepszych krajów b. Austrji.

Przyjmując jednak dane, wzorowane na ścisłych wynikach rzeczywistych, chronimy się od wszelkiego błędu i od zbytniego optymizmu. To zatem, co podaliśmy, możemy osiągnąć z łatwością i napewno. Zwierzęta rzadkie i mniejszego znaczenia, oraz gatunki mające się u nas aklimatyzować, opuściliśmy.

Odstrzał roczny. Zwierzyna pożyteczna.

GATUNEK	Na 1000 ha terenu wypada sztuk: Ubitych w r. 1908 w najlep. z krajów austr.	Na 1000 ha terenu wypada sztuk: W Polsce przypuszczalnie	W całej Polsce przy 46,508.000 ha sztuk:	Ilość mięsa konsumcyjnego w kilogr.: Waga sztuki	Ilość mięsa konsumcyjnego w kilogr.: Łącznie
Jelenie . .	5·33	0·15	6·976	100·—	697.800
Dziki . . .	0·61	0·50	23.254	50·—	1,162.700
Sarny . . .	28·82	30·—	1,395.240	20·—	27,904.800
Zające . . .	145·—	145·—	6,743.660	3·—	20,230.980
Kuropatwy .	175·—	175·—	8,138.900	0·03	2,441.670
Bażanty . .	25·56	25·—	1,162.700	0·05	581.350
Cietrzewie .	3·89	4·—	186.032	0·05	93.016
Jarząbki . .	1·94	1·—	46·508	0·03	13.952
Kaczki . . .	5·64	6·—	279.048	7·—	195.334
Gęsi	0·43	0·01	4.651	1.—	4.651
Przepiórki .	4·14	10·—	465.080	0·15	69·762
Słomki . . .	0·97	1·—	46.508	0·25	11.625
Kszyki . . .	0·96	1·—	46.508	0·01	4·651
Razem	—	—	18,545 065	—	53,412.093

Szkodniki.

GATUNEK	Na 1000 ha terenów wypada sztuk: Ubitych w r. 1908 w najlep. z krajów austr.	Na 1000 ha terenów wypada sztuk: W Polsce przypuszczalnie	W całej Polsce przy 46,508.000 ha sztuk:
Lisy	2·08	4·—	186.032
Kuny	1·—	1·—	46.508
Łasice	7·81	8·—	372.064
Tchórze	3·48	4·—	186.032
Borsuki	0·40	0·05	23.254
Wiewiórki	21·80	20·—	930.160
Razem . .	—	—	1,744.050

Wypada nam się teraz z kolei zastanowić, jakie znaczenie może mieć ta obliczona produkcja zwierzyny dla tak dziś dominującej kwestji wyżywienia.

53.4 miljonów kg mięsa daje przy 30-miljonowej ludności Polski 1.78 kg mięsa rocznie na głowę. Laikowi wyda się to może drobiazgiem, ale jeżeli uwzględnimy statystykę konsumcji mięsa, to cyfra ta odrazu wyolbrzymieje. Niemcy szacowali spożycie mięsa w Rosji na 20 kg rocznie na głowę, dla Królestwa Polskiego znacznie więcej, bo 22 kg. W rzeczywistości jednak Królestwo Polskie zjadało zdaje się mniej, niż Rosja. Według dokładnych obliczeń, jakie u ludności włościańskiej dr. Peltyn przeprowadził („O pożywieniu polskiej ludności włościańskiej“, Pamiętniki Tow. Lek. Warsz., 1895 r., t. XCI, zeszyt I i II) wypadałoby, że zjadano tylko 16 kg. Według norm przyjętych przez Ludwika Dąbrowskiego („Regulamin dla gospodarzy wiejskich, oraz urządzenie gospodarstwa parobczanego“, 1862) wypada rocznie 14 kg mięsa na przeciętną osobę 45 kg wagi.

Dr. Kaczkowski oblicza znów, że polska ludność włościańska spożywa rocznie przeciętnie mięsa tylko 10.235 kg na głowę.*) Oczywiście, inne jest spożycie mięsa na wsi u ludności włościańskiej, która mięsa bardzo mało wogóle spożywa, a inne, znacznie większe, w miastach. Z natury rzeczy wynika, że niepodobna obliczyć dokładnie, ile która warstwa społeczna spożywa mięsa, gdyż nieda się to ściśle skonstatować. Statystyka musi szacować indywidualnie według skąpych i niezbyt ścisłych materjałów. Ale też to szacowanie indywidualne powoduje potem znaczne różnice w wynikach. Niezależnie od tego, tych kilka cyfr, które przytoczyliśmy powyżej, uczą nas, że renta mięsna z należycie rozwiniętego łowiectwa, jako ubocznej hodowli w rolnictwie, jest stosunkowo ogromna. Jeżeli można ubocznie, prawie bez żadnego zachodu, wyprodukować około 10% ogólnej konsumcji mięsa, to jest to już wynik znakomity. (Dok. nast.)



Dr. W. BURZYŃSKI.

Z NAD WISŁY.

18. lipca 1920 r. wieczorem, wyszedłem nad „Przylasek“.

Głębokim sierpem rzucona wśród dębiny łąka, w bliższej części szuwarem pokryta, dotykała starego wału ochronnego od Wisły. Na nim stałem, czekając na ciąg kaczek od strony rzeki i moczarów, po starych jej korytach.

*) Daty o konsumcji mięsa w Polsce zawdzięczamy uprzejmości p. H. Wysokińskiego, Naczelnika Wydz. Hodowli Zwierzyny przy Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

Zachodzące słońce, przecinając płaski, daleki horyzont, spoczęło różowym odblaskiem na dąbrowach, do snu układając sinawym odcieniem ukojoną ruń łąki.

Tu i ówdzie kozioł beknięciem, możliwie najgroźniejszem, znaczył po kniei swą obecność; — zresztą cisza brała górę nad wszelkim, najdalszym odgłosem.

Nareszcie odezwał się pierwszy kaczor-wartownik stada, gdzieś na dalekiem wiślisku, dając początek rozhoworom ogólnym. Kwakania wszelkich tonacji brały udział w tym sejmiku; — zapadała zwykła, co wieczora decyzja, czy już wstawać i gdzie na nocne żerowisko się wybrać.

Nagle nastała cisza krytyczna, a po chwili, wyraźny, mimo odległości, łopot, setkami skrzydeł spowodowany, zwiastował wstawanie stad.

Falangami, po kilka, ale i po kilkadziesiąt sztuk, przelatywały ze świstem wibrujących granatów, a ciągnęły to bliżej, to dalej — przeważnie grupy krzyżówek — czasem w większym jeszcze pędzie cyranki i podgorzałki; — wszystko dla mnie zbyt daleko lub zbyt wysoko. Nareszcie zdecydowałem się na strzał i zbarczona krzyżówka skosem zsunęła się w szuwar.

Nie wziąwszy legawca ze sobą, zamierzyłem się z wału, by skoczyć i czemprędzej, zanim się zaszyje w gąszcze — podnieść kaczkę. Lecz, stanąłem jak wryty — w dali, na lewo, na srebrnem tle mgły wieczornej, która już płaszczem pa ęczym pokrywać zaczęła głębszą część łąki, czerniła się potężna sylwetka dzika, mimo paruset kroków odległości, imponująca wielkością!

Wysunąwszy się niespostrzeżenie z wnętrza środkowej dębiny, zaskoczony i widocznie zmylony odbiciem strzału, przystanął w swym zamiarze przekroczenia łąki. Potężny profil łba, obserwowany Zeissem, zaczął się skracać; — dzik powoli nawracał do gąszcza, zapewne, aby przejść moczar w innem miejscu. Nie było sekundy do stracenia! Mój nieodstępny trzylufek dawał mi możliwość pomyślnego spotkania. Chyłkiem, prawie na czworakach, wycofałem się za wał i drugą jego stroną popędziłem na wprost miejsca, gdzie nieraz za dnia znaczył się szerokim szlakiem sznur przez bagno, od przechodu dzików.

Ostrożnie wychyliwszy głowę nad wał, przeprowadziłem wzrokiem całą łąkę i ciemną krawędź przeciwległego lasu; — niebyło tam śladu życia żadnego — tylko nademną odezwał się czasem poświst pędzącej spóźnionej kaczki i kwakanie. Jednak czekałem; spokojnie wyciągnięty, z bronią tuż leżącą, u której z satysfakcją stwierdziłem widoczną jeszcze muszkę, obserwowałem łąkę; aż oto w samym cieniu przeciwległej dębiny, wyłoniła się nagle czarna masa i — jęła z lewej ku prawej stronie wolno przesuwać — jakby szukając i decydując na przejście. Zadrżałem — na wprost mnie, na szlaku, cień zmalał, prawie znikł — lecz oto zaczął się wydłużać już ku mnie; dzik kroczył powoli, starym torem szedł po swe przeznaczenie — byłem go zupełnie pewny. Wyciągnięty, z bronią podpartą, prowadziłem go muszką w całem skupieniu, a gdy z odległości ponad 100 zbliżył się, szłapiąc w wodzie na jakie 30 kroków i nagle, zapadając głębiej, przystanął — pocisnąłem, mierząc w miejsce, gdzie powinno było być prawe oko w potężnym łbie.

Skutek strzału był piorunujący, dzik bez głosu i ruchu osunął się w wodę.

Był to, na tutejsze stosunki, kolos, największy pod względem wagi odyniec, jakiego w „Niepołomskiem“ dostałem, ważył bowiem odlewane 200 kg wraz z patrochami.

A teraz, pomny swego artykułu w „Łowcu“, z sierpnia 1918 r., przechodzę do strony balistycznej tego spotkania. Uzbrojony byłem kulką 1/3 płaszczykową, o ściętem czole ołowianem, wagi 6·3 gr., kalibru 6·6 m/m (najkrótszy typ), a więc poprostu drobnem ziarnkiem ołowiu, w stosunku do potężnego odyńca — ale o chyżości początkowej ponad 800 m, nadanej 2 gramami niemieckiego „progressio“. Kulka ta, przebiwszy kość czołową dzika 2 cm nad prawem okiem, poszarpała mu mózg i przeszyła

w drodze będące wszystkie kości, stopniowo się deformując i rozlatując w końcu w strzępki — ostatni w głębokości $^3/_4$ najdłuższej osi dzika, znalazłem go bowiem w nasadzie mięśni tylnej lewej szynki, a więc po przebiciu przeszło metra masy wszystkich kości i muskułów odyńca.

Jeżeli się zważy ten strzał „na sztych", to jest to klasyczny dowód mego twierdzenia, ze wspomnianego artykułu, że nie potrzeba nam do celów myśliwskich długich płaszczykowych pocisków, lecz jaknajwiększych ich chyżości, bo przy odpowiedniej czoła budowie, tylko ta ich chyżość, jako główny czynnik w energji uderzenia, decyduje o działaniu kuli.*)



*) Od powyższego czasu przybyło jeszcze jedno przypadkowe spotkanie na polowaniu nagonkowem na drobniejszą zwierzynę, z bardzo tęgim wycinkiem, który otrzymawszy powyższą kulkę na komorę, o otworze wchodowym wielkości conajmniej korony austrjackiej, padł martwy po mniejwięcej 60 krokach od postrzału, znaczonych kolosalną farbą (polowanie w Stebniku ad Dobrohostów).

JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

(Kartki z wyprawy myśliwskiej)

(Ciąg dalszy)

28. lutego.

Dziś św. Romana — imieniny Romka!

Myśl moja biegnie w daleką przeszłość, do czasów bezpowrotnie minionych — hen, aż nad brzegi Horynia, gdzie przez szereg lat w moim wieku młodocianym odchodziliśmy w licznem gronie rodzinnem i obywatelskiem imieniny mego Dziada, starszego Księcia Romana, w uroczej — a dziś tak tragicznie pustej i ponurej Sławucie.

Hej! — jakie to dalekie, jak się wszystko zmieniło — i świat i ludzie i pojęcia — jakby wspomnienia z jakiegoś innego płanety.

Dzisiejszemu solenizantowi szczęście znów sprzyjało nad Setitem. Opuszczamy o świcie Ter-Abu-Karuf i rozchodzimy się niebawem w rozmaite strony, pod przewodnictwem doświadczonych i znających okolicę tubylców, którzy dla każdego z nas osobną meshrę upatrzyli.

Romek przy samym obozie spuszcza z drzewa olbrzymiego sępa, a ja ze spotkanego stadka arieli wybieram dwa najlepsze rogale i kładę je dosyć dalekiemi strzałami na miejscu. Potem zasiadam nad rzeką pod konarami dużych drzew, w kunsztownie urządzonej kryjówce, która służyć musi abissyńskim rabusiom, przy ich częstych w te strony grabicielskich podjazdach. Dużo zwierzyny przed oczyma się przesuwa: water-buck'i, samice kudu, czułe parki oribich, zawsze chodzących we dwójkę, pojedyńcze gazelle Heuglin'a — ale wszystko to do strzału za daleko. Shikari mój zresztą błaga mnie na migi, abym nie strzelał w oczekiwaniu grubszego zwierza.

Tymczasem grzmią strzały Romka. Solenizant godnie święci dzień swego Patrona.

Przekąskę spożywam na miejscu, gdyż do obozu w Ambredze mamy się zejść dopiero pod wieczór. Przybiega z eskorty Romka Sais, dążąc do taboru po dwa wielbłądy pod ubitą przezeń zwierzynę, coup double do ogromnych hartebeestów — z których jeden rekordowy — i trzy ariele. Od strony Józia też słychać gęstą kanonadę.

Przed zachodem słońca ruszyłem z mojej kryjówki, dążąc na przełaj do Umbregi, gdzie nasz tabor się rozłożył. Po urwistym brzegu wdrapałem się na szczyt stromej, niemal pionowo wznoszącej się góry, skąd wspaniały roztaczał się widok na przestwór dziewiczej, bezgranicznej dżungli.

U stóp naszych cicho płynie srebrny Setit w ciemnej zieleni bujnej nadbrzeżnej wegetacji, w cieniu rozłożystych akacji i majestatycznych baobabów o szczupłej koronie, lecz pniu potwornym. Na silnym horyzoncie, o wiele mil odległy, widnieje kopczyk góry, zwanej Lukdi. Po drugiej stronie rzeki w błękitnej atmosferze, w promieniach zachodzącego słońca, wśród gry tysiąca kolorów, widnieje łańcuch gór abissyńskich. Granica Abissynji leży tuż przed nami, zaledwo o godzinę drogi odległa. Naokoło, dokąd tylko najlepszym teleskopem oko dosięgnąć może — jeden nieprzebyty, bezgraniczny, aż straszny w swoim ogromie przestwór monotonnej, dzikiej afrykańskiej puszczy.

Tysiące pantarek kręci się po dżugli. Zabijam ich kilka na dzisiejszy objad i przed samym zachodem słońca wracam do obozu, gdzie zjawiają się również chłopcy, a za nimi wielbłądy, objuczone bogatemi łupami dnia dzisiejszego.

Józiowi szczęście się uśmiechnęło. Ubił pięknego byka kudu, rzadkie trofeum, wysoko przez myśliwych cenione.

Rezultat dnia dzisiejszego — ośm dużych antylop. Nie spodziewałem się nigdy podobnego rozkładu.

1. marca.

Dziś dwudziesty dzień naszej wyprawy, licząc od Chartumu, a pierwszy nowego miesiąca, w którym w naszym kraju wiosna się dopiero rozpoczyna, a tu mamy kulminacyjny okres t. zw. suchego sezonu — „dry season“ — odpowiadającego europejskiej zimie, gdyż jak tam od mrozu, zimna i śniegu wszelkie życie zamiera, tak tu bezlitosne słońce wszystko ścina i wypala. Wszystko suche, żółte i spalone, a liczne pożary dżungli, które codziennie się widzi, na czarny węgiel wypalają ziemię i to, co na niej rośnie. Widok takich przestrzeni, przez które przeszedł pożar, jest okrótny,

Nad samemi rzekami tylko utrzymuje się bujniejsza, zielona wegetacja.

Wschód słońca zastał mnie już przy rzece u wodopoju i cały dzień nad meshrą spędziłem. W ciągu pełnych dziesięciu godzin nie nudziłem się ani chwili. Ciągle zmieniają się obrazki egzotycznej przyrody. Pojedyńcze sztuki arieli, liczne parki bush-buck'ów i oribich, duże water-buck'i, krokodyle i liczne hurmy małp — ożywiają krajobraz, który w tem miejscu, dzięki olbrzymim baobabom (Adansonia) i malowniczym brzegom Setitu, sam przez się jest niezwykle piękny. Oczy oderwać trudno od tego, jak go nazywam, naturalnego ogrodu zoologicznego.

Do południa z większych antylop widziałem tylko samice kudu; do mniejszych strzelać nie chciałem. Słońce stało u zenitu, skwar dokuczał nieznośny. Nastała owa pora jasnego blasku i milczenia, kiedy to świat aż bieleje z żaru. Wtem spostrzegłem po drugiej stronie rzeki spuszczające się ze stromego wzgórza ogromne stado arieli, a między nimi solo potężnego byka hartebeesta, który wzrostem i postawą dominował nad mniejszemi od siebie arielami. Szedł w samym ogonie stada, które zeszło do wody i pić poczęło.

Dystans był ogromny — trzysta do czterechset kroków, ale jaskrawe światło ułatwia wzięcie zwierza na cel przez teleskop. Mierząc tedy spokojnie i długo, jak do tarczy, położyłem go jedną kulą z Mannlichera na miejscu. Z uciekającego w popłocbu stada wybrałem jeszcze ładnego rogala i, zmieniwszy ładunek, drugiego. Padły oba w ogniu, jak piorunem rażone, tak, że trypletem trzy sztuki w ogniu rulowały.

Posłałem do obozu człowieka po wielbłądy dla zabrania zwierzyny i sam koło czwartej tam wróciłem, zastając już Romka nad upolowanymi arielami i Heuglin'em. Jako ciekawą dla nas nowość, opowiadał, że cały ranek sznurkował po dżungli za tropami kilku sztuk bawołów (Bos Caffer), tej pysznej, może jednej z najwspanialszych, afrykańskiej zwierzyny. Ślady jednak nie były świeże, więc o spotkaniu bawołów mowy być nie mogło. Bos Caffer, przed laty pospolity nad Setitem i Atbarą, obecnie wskutek epidemji zarazy t. zw. Rinderpest, zniknął niemal zupełnie z tych okolic Sudanu. Nad Dinderem i Rahadem oraz w Abisynji zdarza się częściej, ale wogóle w górnej części Sudanu należy do rzadkiej zwierzyny.

Nad Nilem Niebieskim, przed dwudziestu laty, spotkałem jedno stado bawołów, ale strzał zepsuł mi wówczas niezdarny czarny mój przewodnik, a doktor Sztolcman ubił wtedy z niego młodego byczka.

Nad meshrą słyszałem dziś strzały od strony abissyńskiej granicy. Ludzie moi twierdzą, że to kłusownicy, zbrojni w wojskowe karabiny, uganiają się po dżungli za wszelką zwierzyną, zwłaszcza za marabutami, dla ich cennych piór. Spotkanie z nimi nie jest miłe i o awanturę nietrudno.

Józio, prócz arieli i gazelli, nie miał dziś w dżungli spotkania.

2. marca.

Od dzisiaj Anabasis. Rozpoczynamy odwrót i cofamy się wstecz tąsamą drogą, którą przybyliśmy, wybierając jedynie odmienne punkty postoju, aby zmienić rewiry polowania.

Wyruszamy o świcie w inne strony i mamy się spotkać dopiero wieczorem na nowym biwaku między Ter-Abu-Karuf i Zahani. Około 9-tej zasiadłem nad szeroko i daleko ciągnącą się meshrą, podniecony nieco widokiem świeżutkich tropów trzech lwów z nocy, a nawet z dzisiejszego ranka. Niestety, liczne stada bydła i kóz, przepędzone do wodopoju skądś z głębi kraju przez dzikich krajowców ze szczepu Hodendoa, hałasują nad rzeką. Lwy widocznie za nimi przyciągnęły, ale wypłoszyły inną zwierzynę, bo oprócz paru pojedyńczych gazelli, nic innego nie widziałem.

Miałem za to szczęście do niezwykłych, arcyrzadkich ptaków, zwanych sekretarzami „Sekretary's Bird“ (Serpentarius Secretarius), których para przyszła z gąszczu piechotą do wodopoju. Ubiłem je oba udanemi strzałami na jakie 300 kroków — najlepsze świadectwo celności mego Mannlichera.

Nigdy przedtem tych ptaków nie widziałem. Uchodzą za niezmierną rzadkość i, o ile wiem, żaden z europejskich ogrodów zoologicznych ich nie posiada. Pożerają jakoby węże jadowite i dla swej rzadkości cieszą się specjalną opieką przepisów rządowych, limitujących ich odstrzał.

Istotnie, wspaniałe to ptaki, z koroną ślicznych piór na głowie, które, maszerując, sztorcem stawiają. Biorę je oba do wypchania do Warda do Londynu.

Wracając pod wieczór do obozu, spotkałem się z chłopcami. Józio postrzelił roana, których całe stado wytknęło nań u wodopoju. Romkowi zaś szczęście w dalszym ciągu sprzyja. Idą dwa wielbłądy, objuczone jego trofeami: coup double do roanów — dwa młode byki — rekordowy bush-buck i ładny rogacz ariel.

Józio spotkał świeżutkie ślady lwa, zapewne owej lwicy, niedaleko od miejsca, gdzie padł jej małżonek. Postanawiam tu przez dzień jutrzejszy pozostać i spróbować szczęścia ze lwicą.

Z Gedarefu nadciąga milicjant na wierzchowym kłusaku-wielbłądzie i przywozi nam świeżą paczkę prowizji i trunków.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

Na limanach morskich.

Gdy nadeszła pora na przelotne ptactwo jesienne, wybrałem się z kilku znajomymi i Kimachą na limany. Jako bazę naszych działań obraliśmy Matłaszewkę, położoną przy ujściu Tiligutu do limanów i nie tracąc czasu, jeszcze tegoż dnia, wyjechaliśmy na łowy. Przed zachodem słońca podwieziono nas łodziami do wkopanych głęboko w ił limanów beczek, dobrze zamaskowanych w gęstych sitowiach. W oczekiwaniu ciągów staczamy zaciętą i krwawą walkę z ciętymi komarami, cisnącymi się nam w rękawy, pod siatki, za kołnierze i tnącymi nas niemiłosiernie przez lekkie ubranie. Ciemnieje — i lekki wietrzyk powiał od strony morza, zakołysał i zaszeleściał wysokimi oczeretami i z ich szumem zmieszał się gwar i skrzek kaczy i szum szybkiego ich przelotu. Ze świstem, zgrzytem i kwakaniem co chwila ponad naszemi głowami przenoszą się całe tabuny krzyżówek, podgorzałek, cyranek i wiele innych odmian. Raptownie na kilka wiorst długa dolina zagrzmiewa jednym nieprzerwanym hukiem wystrzałów, podnosi się na całej linji niebieski obłoczek dymów prochowych Nie straszą ptactwa jednak grzmiące strzały, co raz ich więcej nadciąga, przelatuje spiesznie na żerowiska wód słodkich, lub przyległe pola. Po kwandransie cichnie kanonada, niekiedy tylko pojedyńczy wystrzał gdzieś zagrzmi, dymy unosi wiatr i rozpędza je — ciągi skończone — tylko gną się i szumią wysokie trzciny.

Teraz od wysokiego brzegu limanu odbija kilka długich wąskich łodzi i cicho płynie na spokojne wody. Tam od morza zataczają szeroki półksiężyc, zmieniają front i w odwrotnym płyną ku nam kierunku, pędząc przed sobą spotkane ptactwo. Jeszcze łodzi nie widać na lustrzanej wodnej tafli, błyszczącej od blasku księżyca, gdy okazuje się kilka białych punktów. Płyną wolno, majestatycznie, już mogę rozpoznać w przodzie płynącego łabędzia samca, z wygiętą szyją i napuszonemi skrzydłami, zanim sześć sztuk podobnych jemu ptaków. Są zaledwie kilkadziesiąt kroków od mego stanowiska — podpuszczam je jeszcze bliżej. Po świecącej lufie biorę je na cel, hukowi wystrzałów odpowiada gwałtowne bicie skrzydłami w wodę i plusk padającej innej sztuki martwej. Wylękłe ptaki zataczają krąg nad zabitymi towarzyszami i podlatują pod strzał sąsiada, który zdobywa trzeciego pięknego ptaka z tegoż stadka.

W polowaniu na ciągach wieczornych utraciliśmy dużo naszej zdobyczy w gęstych sitowiach, której odnaleść nie było można, a spadły ptak poza obrębem 50 kroków wokoło beczki nie należy do myśliwego — zabierają zdobycz rybacy, właściciele beczek, takie prawo umowy.

Mój gospodarz Dołgaz, baptysta, zawiózł mnie dziś rano na długą, piaszczystą kosę, wrzynającą się wąskiem językiem daleko w liman, a wskazawszy mi ukryte miejsce, sam z resztą mych kolegów zniknął mi w błękitnej dali wodnej. Dochodziły mnie częste odgłosy wystrzałów, a ja tu siedzę bezczynnie. Przeleciało nad kosą kilka kormoranów, kilka łabędzi przepłynęło obok, aż w końcu kosy siadł monstrualny ptak o niskich nogach, kolosalnym dzióbie workowatym i wielkim tułowiu. Apatycznie zdawał się patrzeć w dal, skąd przyleciał. Po długiej pauzie pokazały się w mglistej dali łodzie i na ich widok pelikan (baba) zaczął niespokojnie się kręcić i oglądać, a gdy wioślarze podpłynęli bliżej, podniósł jedno skrzydło wpierw, potem drugie i ciężko zamachał niemi. Już myślałem, że stracę go z oczów, gdy nagle skręcił, a gdy przyleciał na jakie 100 kroków, strzeliłem do niego. Nie zmienił nawet obranego kierunku i znikł mi za wystającą kosą. Moi towarzysze nie więcej dziś mieli szczęścia odemnie i powróciliśmy do Matłaszewki z kiepskiemi minami. Czekała mnie jednak radość niespodziewana. Oto mój Dołgań łowiąc wieczorem ryby znalazł mą „babę" i jeszcze żywą mi przyniósł.

Dziś jesteśmy na grząskich błotach, polujemy na bekasy i dubelty. Szanowni koledzy mają już po kilkanaście sztuk tych długonogich, ja zaś po licznych strzałach i nawierceniu dziur w błocie zaledwie mam ich parkę i ranionego bekasika, złapanego przez psa.

Nawet poczciwe psisko moje, widząc mą niezdolność i wstydząc się za liczne me pudła, z pogardą patrzy na mnie i w końcu odmawia mi swej pomocy i ze spuszczonym łbem chodzi mi za nogą. Za to mój Kimacha hula! Sypie on w gardziel swej trzyłokciowej katarzynki pół garści prochu, garść całą śrutu, funtem kłaków je przybija, a zajmując strzałem sążniowe przestrzenie, kładzie trupem nie tylko upatrzonego ptaka, ale i tego co obok wzlatuje i którego nie widzi. Sakwa też jego najeżona dzióbami jak olbrzymi jeż u boku mu wisi.

Nadchodzą dni chłodne, bezwietrzne. Gęste opary od wczesnego ranka podnoszą się z limanów i otulają ciemną powłoką całą okolicę, na kilka sążni zaledwie jakiś przedmiot rozróżnić możemy. Siadamy do łodzi i wyjeżdżamy na środek limanów. Ktoś nieostrożny wystrzelił, a odgłos strzału rozbudził drzemiące kolonie ptasie. Zerwała się prawdziwa burza szumiąca, załopokało w cichem powietrzu tysiące skrzydeł i całą dolinę napełnił gwar ptasi i smętne gęsi gęganie. Co chwila nad naszemi łodziami przelatują gromady gęsi, lecz w gęstych tumanach nic rozpoznać nie możemy. Łodzie stanęły w prostej linji, w znacznych od siebie odstępach. Padł znów strzał, lecz widać nie daremny, bo plusk wody o zabitym ptaku oznajmia. Z wszystkich prawie łodzi odezwały się teraz strzały co raz częstsze, tylko nad moją łodzią gęsi nie przeciągały i gdy już myślałem zrezygnować z polowania, z ciemnej zasłony tuż nademną pokazało się sztuk kilka. Na taki dystans chybić trudno, padły dwa strzały, dwie gęsi plusnęło w wodę. Teraz nie ma chwili do stracenia, oszołomione gęsi kręcąc się nad wodami, odbijając o wysokie brzegi obrywiste, trafiają pod nasze lufy i giną w huku wystrzałów. Wreszcie czerwona tarcza słoneczna przebija gęste opory, robi się w całej dolinie jaśniej — wietrzyk rozpędza tumany, ptactwo niknie nam i cisza zalega wody i kolicę.

Syci wrażeń, odjeżdżamy z tego ptasiego Eldorada do swych domów, do czekających nas zajęć i obowiązków.

Puszcza oczeretowa. Dużo opowiadał mi Kimacha o polowaniach na lisy w oczeretowych kniejach, więc też z upragnieniem wyczekiwałem pory jesiennej i pierwszych śniegów, w których wytarzany lis nabiera dopiero należytej barwy swego puszystego futra. Pokładałem wielkie też nadzieje na mą gończą Wisłę i Rozboja Kimachy, spodziewałem się obfitej zdobyczy. Zanim jednak nadeszła ta chwila, skracałem sobie czas częstemi wycieczkami z Jaszczurem w stepy w poszukiwaniu dropi. Wszelkie me próby w tym kierunku były bezcelowe, więc też bardzo niedowierzająco odnoszę się do opisów łapania dropi chartami. Być może, że na owe zamierzchłe czasy, ostrożne te ptaki były głubsze i mniej czujne, może psy lepsze, dość, że raz jeden tylko Jaszczur pochwycił za ogon młodego ptaka, który notabene wydarł mu się z paszczy, ogon w niej zostawiwszy. Łapaliśmy dropie w czasie ciepłych zim, gdy podczas dłuższych dżdżystych dni (zwanych ożełedą) ptakom obmarzały pióra, na piersi tworzyły się lodowe bryły, których ptaki unieść nie mogły. W dni takie, trafiające się na szczęście rzadko, całe wsie wyruszały w pola na poszukiwania dropi, które wtedy padały pod kijami krwiożerczego chama-mużyka. Często ptaki te powodowane instynktem, za wczasu odlatywały w cieplej-

sze strony i unikały pogromów. Lecz pozostawiam dropie ich losowi i powracam do oczeretowej dżungli.

W końcu listopada, pierwsze zawitały przymrozki i przeleciały śnieżne zawieje. Stężały grząskie błota w oczeretowej kniei, umożliwiając wstęp do jej serca. Nazywam ją knieją, bo szeroka na 15 a ciągnąca się na 50 wiorst długa przestrzeń, szczelnie pokryta wysokiemi trzcinami, z masą topieli, moczarów, jeziorek z suchemi wysepkami, będąca wiecznie w ruchu i za lada powiewem wietrzyka kołysząca się jak fala wzburzonego morza, robiła wrażenie niedostępnej pustyni, lub burzliwego morza.

Pewnego wieczora zjawił się mój K. z wesołą wieścią o jutrzejszej wyprawie na „łysyc'u“. Głębokim snem drzemała jeszcze wioska, gdyśmy ją w trójkę opuszczali, zaledwie w niektórej chatce zabłysło nikłe światełko. W polu było świeżo i chłodno, a zdalekiej strony dochodził nas szum i szelest szemrzącej odwiecznie kniei. Pozostawiamy pod jej wysoką ścianą syna K., Leonida z psami, sami zaś przecinamy opodal jej środek. Głos rogu chłopaka oznajmia nam o ruszeniu zwierza, to też niebawem ujadanie ogarów nam potwierdza. Zaskowyczała Wisła piskliwie, Rozbój basem jej zawtórował i miła psia muzyka rozniosła się po kniei. Gonią wolno, z przystankami, bo w połamanych i powikłanych oczeretach nie łatwem jest chodzenie. Naraz urwały zupełnie, zagubiły ślady — odszukują. Znów wrzawa, miarowe naszczekiwanie — gonią w naszą stronę. Jeszcze dalekie dochodzą mnie głosy, gdy zaszeleściały wysokie trzciny przedemną i wyskoczył zając. Na polanie stanął słupka, zastrzygł długiemi uszami, uderzył po nich łapką, tupnął skokiem niecierpliwie i wpadł w szuwary. Śladem zą nim ostrożnie i bez szelestu wychylił się lisek, obwąchał tropy zającze i puścił się w pościg za nim. Wstrzymałem go mym strzałem na miejscu. Od strony Kimachy, w krotkich po sobie odstępach padły dwa strzały i za chwilę zjawił się K. z psami, kotem i lisem. Nadszedł L. zabrał psy na smycz a my znów załamaliśmy szmat kniei. Mam teraz stanowisko na ciemnej przez zwierza wydeptanej w szuwarach ścieżynce. Już drą się psiska na całe gardła, Leonid je jeszcze zachęca świstem. Poruszyły się lekko kiście oczeretów nad drożką i tęgim truchtem biegnie drożyną niewielkie wilczysko, a gdy zbliżył się na 30 kroków, przywitałem go wystrzałem, kładąc go na miejscu. Psy goniły widocznie innego zwierza, bo za chwilę po mym strzale, padł strzał Kimachy, widocznie chybił stary, bo psy gonią dalej. Znów ryknął stary ze swego garłacza, aż puszcza jęknęła, ale nie na darmo, oto nadchodzi z dwoma pięknymi lisami. Nigdy tego wilka przestrzelać nie mogę i tam gdzie uważam dystans za wielki dla mej tesznerki, on strzela na „wierniaka“. Niekiedy przyłączał się do naszej kampanji stary „Teodor“ istny kontrait mego starego K. O ile K. był skromnym, o tyle F. chełpliwym i bezczelnym łgarzem. K. strzelał bez pudła — Teodorowi zwykle „ne doneslo“ lub „perenesło“. Często powtarzał, że ubitą w swem życiu zwierzyną mógłby pokryć ziemię Ananijówskiego powiatu mającego 150 w. długości i 100 szerokości.

Dzisiejsze nasze pierwsze w oczeretach polowanie, dały nam nadspodziewane trofea. Mieliśmy wilka, 3 lisy i 2 zające. Odtąd puszcza oczeretowa stała się niemal mym domem mieszkalnym i nie było tygodnia, bym do niej nie zajrzał i nigdy z próżną torbą z niej nie wychodził. Dziwić też czytelnika nie powinno, że przy tej masie lisów, jaką tu mieliśmy, trofea roczne, dochodziły do 130—160 sztuk — z czego K. wyżywiał swą liczną rodzinę — mając olbrzymią większość zawsze.

Jedno z tych naszych ulubionych lisich polowań, omało nie zakończyło się bardzo tragicznie. Zima 1888 r. była wyjątkowo srogą i obfitowała w częste śnieżne zamiecie i huragany, uniemożliwiając mi częste wycieczki. Szanując stare myśliwskie tradycje wigilijnych polowań, z niecierpliwością wyczekiwałem tej pory, a gdy wreszcie nadeszła, nie zważając na pogodę ruszyłem we dwójkę z K. do kniei. Szczęście nam nie sprzyjało, naga zawsze Diana schowała się w cieplejsze ustronie przed dokuczliwym mrozem, zapomniała dziś o nas, psy dla wielkiej ilości zasp i obfitej okiści w oczeretach chodzić nie chciały i zaledwie marnego nam wygnały szaraka. Poszliśmy w odległą część kniei mniej spolowanej, w nadziei łatwiejszej zdobyczy, lecz i tu zawiodły nas oczekiwania. Słońce już ku zachodowi kłonić się poczęło, gdy ciężkie chmury od północy nadciągać poczęły, sypnęły gęstym śniegiem nam w oczy i zasłoniły widnokręg. Zawróciliśmy ku domowi o 10 w. oddalonemu. By przed nocą dosięgnąć gościńca, przerzynamy znaczny pagórek, leżący na naszej drodze, na szczycie, którego psy spostrzegły myszkującego lisa i za nim pobiegły. K. poszedł ich śladem, ja zaś chcąc przeciąć mu odwrót do dżungli, spuszczam się w dolinę napowrót, umówiwszy się z K. o spotkaniu się naszem na szlaku. Gdym okrążył pagórek i stanął na umówionem miejscu, nie zastałem tam nikogo, więc daję hasło wystrzałem, a gdy mi nie odpowiedziano, powtarzam je jeszcze dwa razy. Ciemno i głucho dokoła, tylko szalona burza rwie śniegi dokoła, kręci nimi i zamiata, zasypuje mnie do kolan, a w bliskiej kniei huczy i jęczy przeraźliwie. W osamotnieniu mem zalega mi teraz ciężki smutek na duszy, nieopisana szarpie mną tęsknota, przenoszę się myślą pod rodzinną strzechę, gdzie zasiedli do wieczerzy moi ukochani, gdzie wesoło pali się choinka. Obok zmęczenia całodziennem chodzeniem po sypkich śniegach, uczuwam się tak osamotnionym i zgnębionym, że gdy w niedalekiej wiosce zajęczały żałośliwie cerkiewne dzwony i zawyła puszcza głębokim jękiem, zdawało mi się, że za własną wlokę się trumną i knieja żałośnie za mną wzdycha.

Cała wieś pogrążona była już w śnie głębokim, gdym dowlókł się do domu i nie tknąwszy przygotowanej wieczerzy, rzuciłem się na twarde łoże. Niewiem jak długo spałem, gdy zbudził mnie syn Kimachy, oznajmiając mi, że psy, Rozbój i Jaszczur powróciły do domu, a ojca z Wisłą dotąd niema. Gdym chłopakowi opowiedział, gdziem starego pozostawił, ten znając zaciekłość ojca domyślił się, co zajść mogło i gdzie starego szukać nam należy. W kilka minut kirgis był wprzężony do sanek, zabrane psy, pęki słomy i latarka i unosił nas cwałem ku kamieniołomom. W czasie, gdym rozpalał pęki słomy na górze, oświecając miejscowość, Leonid z psami odnalazł ślad ojca, prowadzący do kamieniołomów, gdzie niebawem znaleźliśmy i starego.

Z ciemnej czeluści kamiennej wystawały zesztywniałe nogi, na zewnątrz cały zaś tułów nieszczęśliwca tkwił w ciaśnym otworze skały. Ściśnięta mocnym rzemieniem gruba odzież, zadarłszy się przy cofaniu K. z jamy, dokąd polazł za ranionym lisem i goniącą go Wisłą, zatamowała wszelkie ruchy jego wydostania się i nie wiele pozosta-

wało mu życia, gdyśmy po rozcięciu odzieży stamtąd go wydostali. Wyglądał przestraszająco przy żółtem świetle latarni. Twarz purpurowo-sina, oczy z orbit wysadzone na wierzch, nabrzękłe żyły na karku i skroniach, jak grube sznury, przedstawiały widok okropny. Po wlaniu sporej porcji mocnej gorzały w usta, przyszedł do przytomności i szukał swej rusznicy i „łysycy“ koło siebie. Długo lizał się po tej przygodzie, a białka oczów na zawsze pozostały mu czerwonemi.

Wspominając ten wypadek, nie mogę pominąc milczeniem zdarzenia podobnego z myin dobrym znajomym, Andrzejem Artymonowym, z którym nie jednego lisa upolowaliśmy razem i nie jeden funt prochu spaliliśmy wspólnie. Pod nazwiskiem „szkuratnika“ Andrzej był znany na całem południu Rosji, jako zawołany myśliwiec, jego saneczki, czy wózek, obciągnięty płócienną budą, w białego zaprzeżone konia, z kozą dojną, paru chartami i dwoma gończymi, był znany większości mieszkańców ustronnych stepów Chersonu, Ekaterynosławszczyzny i Taurydy. Sympatycznej twarzy, o płowym zawiesistym wąsie, wzrostu krępego, silnej budowy, nosił się z kozacka: w szerokich szarawarach sinych, takim baszmacie, przepasanym srebrem zdobnym pasem z kindżałem, w wysokiej papasie, na golonym łbie z długim „osełedcem“ zawadjacko nasadzonej.

Zdawszy wszelkie kłopoty zamożnego gospodarstwa swej tęgiej mołodycy Agafji Porfirównie, oddał się wyłącznie ulubionemu myśliwstwu i rybołówstwu.

C. d. n.



DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Dokończenie)

VII. RETRIEVER.

Nazwisko Retriever oznacza raczej zawód, niż rasę. Retrievery są to psy używane wyłącznie do aportowania zwierzyny. Z natury rzeczy, możnaby każdego psa obdarzonego odpowiednim węchem i dostatecznym rozumem do aportowania wytresować. To też pierwotnie od tego zaczęto. Krzyżowano też n. p. settery z pudlami i innemi rasami. Wypróbowane retrievery używano do dalszej hodowli, aż wreszcie wyrobiły się pewne typy, które się tak ustaliły, że je jako rasy uznano.

Retrievery przeważnie przypominają kształtami settera, mają jednak węższy pysk, krótsze uszy i ogon bez chorągwi. Pod względem włosa i maści rozróżnia się trzy główne typy:

a) czarne bez odmian z gładkim lekko falowanym włosem (flat coaded), krótszym nieco niż u settera; *b)* czarne bez odmian z włosem kędzierzawym jak u krymskiego baranka (curly coated) i *c)* złoto gniade (golden retriever) z włosem falowanym.

Hodowla retrieverów powstała w końcu XIX. stulecia, równocześnie z rozszerzeniem się „sportu strzeleckiego“. Mają one tylko tam rację bytu, gdzie się zwierzynę masami morduje i psy legawe podołać nie mogą robocie.

VIII. CHART.

Chart jest bezsprzecznie najstarszym psem myśliwskim, może najstarszą rasą w ogólności, bodaj równie dawną, jak ród ludzki.

Czy Adam w raju charty trzymał, trudno dzisiaj stwierdzić, ale że Noe do arki między innymi i parę chartów wziął, to zdaje się nie ulega wątpliwości.

W najdawniejszych zabytkach sztuki indyjskiej, babilońskiej i egipskiej znajdujemy i to wcale niezłe wizerunki chartów. Kolebką chartów jest środkowa Azja. Stąd z plemionami indoaryjskiemi dostały się do Europy, gdzie pod wpływem klimatu, pokarmu i selekcji, wytworzyły się najrozmaitsze odmiany.

Polowanie z chartami było, jak się zdaje, najpierwszym i najprymitywniejszym systemem łowiectwa. Chart w szybkim biegu chwytał zwierzynę i albo ją odrazu dusił, jak zająca, lisa, albo trzymał póty, póki myśliwy nie nadszedł i nie dobił.

Z chartami polowano w dawnych czasach na wszelką zwierzynę, na lwy tygrysy, dziki, jelenie, antylopy, strusie, a pan Zawisza i na niedźwiedzie chartami polował (zob. N. 4 i 5 Łowca z r. 1921).

Wskutek zmian społecznych i ekonomicznych, które w ciągu XIX. stulecia w Europie nastały, polowanie z chartami zupełnie upadło, a chart stał się psem luksusowym. Jedynie tylko w Polsce polowanie z chartami bywa jeszcze uprawiane, jednak w coraz to mniejszych rozmiarach i zdaje się, że i tu niedługo się jeszcze będziemy tym pięknym sportem cieszyli.

W Anglji pod wpływem systematycznej hodowli, wytworzyło się kilka specjalnych ras chartów. W Rosji też na wzór angielski wprowadzono racjonalną hodowlę specjalnie rosyjskiej rasy „barzojów“ czyli wilczarzy. W Niemczech hodują angielskie a szczególnie rosyjskie charty pierwszorzędnej jakości.

Ogólne znamiona charta niezmienione prawie od przedhistorycznych czasów są następujące: Głowa bardzo długa i bardzo wązka, czoło i nos tworzą jedną linję nieco wypukłą, bez „stopu“. Paszcza prawie po uszy rozcięta z bardzo wielkimi zębami. Nozdrza wązkie, mało rozwinięte. Oczy nie wielkie, trochę skośne, bocznie osadzone. Uszy przeważnie małe, spiczaste, leżą wstecz ku karkowi, w afekcie podnoszą się jak u zająca. Niektóre azjatyckie i afrykańskie charty mają jednak uszy długie gładko zwieszone, jak jamnik. Szyja długa, ładnie wygięta. Wzrost bardzo duży. Pierś wązka a bardzo głęboka, brzuch wysoko podcięty, Grzbiet zwięzły lekko wypukły. Nogi wysokie, suche, muskularne. Ogon długi, zwisły, często podkulony z końcem zakręconym.

Chart w przeciwieństwie do innych ras, a szczególnie myśliwskich, ma węch słabo rozwinięty, a wzrok nadzwyczaj bystry.

Chart jest stosunkowo mało inteligentny, do tresury prawie niezdatny, przywiązuje się raczej do domostwa, aniżeli do ludzi, jest niesforny i często zły. Mimo to jest na zachodzie bardzo lubiany i poszukiwany jako pies domowy, nawet pokojowy.

Rasy chartów hodowane systematycznie w Anglji i na kontymencie są następujące:

1. Deerhound.

Deerhound przywędrował do Szkocji z Keltami, albo starszem jeszcze plemieniem. Tutaj używano go do polowania w górach na jelenie. Dziś trzyma się go przeważnie jako psa domowego.

Deerhound jest bardzo duży 74—80 cm., zgrabny i odznacza się od innych chartów długim, gęstym i szorstkim włosem, na pysku nieco miększym. Maść stalowa, albo buro-siwa.

2. Irish-Wolfshound.

Irlandzki wilczarz wyginął razem z ostatnimi wilkami w początkach XIX. stulecia. Dopiero w r. 1880 założony „Irish-Wolsfhound-Club“ wytworzył sztucznie nową rasę pod tem nazwiskiem i wydał „standard“ dla niej. Pies ten przedstawia typ pośredni między niemieckim Dogiem a Deerhoundem, ma włos gęsty, druciasty, maści wilczej.

3. Greyhound.

Greyhound, znany ogólnie jako angielski chart, był dawniej w całej Europie rozpowszechniony i do polowania na zające używany. Dziś zdegradowany został na psa pokojowego, z którym co najwyżej urządza się wyścigi za zającem, najczęściej z klatki wypuszczonym.

STEFAN FILIPOWICZ — Feljeton

WSPOMNIENIE.

II.

W pewno cudowne listopadowe popołudnie 1917 r., zjawił się u mnie, dziś już nieżyjący, węgierski naczelnik stacji S., ś. p. Alador N., z prośbą, bym wziął go ze sobą na polowanie, tembardziej, że właśnie dostał gdzieś z okolic Debreczynu niezawodną strzelbę, z której jeszcze jego „Nagypapa“ polował, a że i w nim także uśpiona drzemie gdzieś w ukryciu żyłka myśliwska — więc chciałby ją obudzić i dzięki nadarzającej się sposobności, strzelbę wypróbować. Naturalnie, że na taką prośbę nie mogłem odmownie odpowiedzieć i zaawizowawszy Mietka W. po pewnym czasie byliśmy gotowi do odmarszu z pieskami — w rewir blisko położony.

Niestety, nasz nowy madziarski towarzysz dał długo czekać na siebie i dopiero po kilkakrotnem posyłaniu po niego, jawił się w całej krasie myśliwskiej, z „dziadowską“ lefoszówką na wyszywanym w jaskrawe kwiaty pasie i takąż w najrozmaitsze paciorki wyszywaną torbą. Spojrzeliśmy z Mietkiem po sobie i rozumiejąc się bez słów, parsknęliśmy, jak na komendę, serdecznym śmiechem, który on nie poczytywał za nic obraźliwego, gdyż z najpoważniejszą miną począł nam pokazywać ukryte zalety swej odwiecznej flinty, którą nawet w dzisiejszych, bardzo ciężkich czasach, wahałbym się obdzielić „szanującego się“ gajowego. Nie chcąc tracić drogiego czasu, pouczyliśmy naszego nowego towarzysza z miejsca o zasadniczem zachowaniu się na polowaniu i wyegzaminowawszy jego sprawność w obchodzeniu się z odwieczną lefoszówką — okazało się, że nawet o trzymaniu strzelby niema „zielonego pojęcia“ — ruszyliśmy w las — przyczem wspomnąć muszę, że nasz towarzysz uparł się wziąć ze sobą koniecznie zresztą bardzo ładną, „salonową“ charcicę, którą jednakowoż, po naszem, niedającem się ukryć, oburzeniu, odesłał do domu. Wśród żartów i śmiechu, ilekroć spojrzeliśmy na ukolorowaną flintę i torbę na tle odwiecznych buków i świerków, które spewnością tak uzbrojonego myśliwego w „górach“ na grubego zwierza nie oglądały — stanęliśmy wkrótce na miejscu.

Mały, około 20 morgowy lasek, o bardzo gęstem podszyciu, z charakterystycznem w Beskidzie bagnisku leśnem, obraliśmy na pierwszy miot, suponując po licznych na mokradle tropach dziki, które w gąszczarach tych właśnie zalegać lubiały. Ze względu na zbliżający się wieczór, rozstawiłem moich towarzyszy, przyczem nie obeszło się bez małej reprymendy pod adresem naszego, nowokreowanego myśliwego, który jakoś ani rusz nie mógł uzmysłowić sobie dzika i jak do niego ma strzelać — pouczyłem go raz jeszcze, jak ma się zachować i umieściwszy pod

Wyścigi te już w XVI. w. były w Anglji uprawiane. Pierwszy regulamin dla nich był przez ks. Norfolk w XVII. ułożony i później prawie dosłownie przyjęty przez „National-Coursing-Club“, który co roku urządza w Altcar koło Liverpolu Derby dla chartów, czyli „Waterloo-Cup“ i prowadzi „Stud-Book“.

Waterloo-Cup ma dla hodowli chartów równie wielkie znaczenie jak Derby dla hodowli Vollbluta. Dzięki nadzwyczaj racjonalnej hodowli, chart angielski po dziś dzień jest najpierwszym na świecie, szczególnie gdzie chodzi o polowanie na zająca. Chart angielski odpowiada ogólnie podanym poprzednio wspólnym znamionom chartów. Łeb ma nieco szerszy w tylnej części a zwężający się dopiero między oczami, lekki „stop“ między czołem a nosem. Wzrost koło 66 cm. Sierć krótka, miękka i gładka. Maść biała w czarne plamy, stalowo-siwa, płowa (fawn) z czarnym pyskiem, albo także w ciemne pręgi, bywają też czarne, rzadko kiedy black and tan.

4. Whippet.

Whippet odróżnia się od poprzedniego jedynie tylko wzrostem wynoszącym około 55 cm. Pierwotnie stworzony przez jakieś krzyżowanie dla polowania na króliki, dziś jest wyłącznie psem luksusowym.

5. Rosyjski chart.

Rosyjski chart po angielsku zwany „borzoi“, po niemiecku „barsoi“ (barzoj znaczy po rosyjsku tyle co chart), jest od lat 30-tu jednym z najmodniejszych psów w ogólności. Na każdej wystawie w Anglji i Niemczech spotyka się po kilkadziesiąt tych pięknych i szlachetnych zwierząt, których hodowla w tych krajach doszła do najwyższej doskonałości.

Kolebką jego jest południowa Rosja, szczególnie Kubań i Krym, gdzie pośród Kozaków i Tatarów ogólnie bywa używany do polowania na wilki. „Ces. Towarzystwo Myśliwskie“ w Moskwie zajęło się w drugiej połowie zeszłego stulecia racjonalną hodowlą tej rasy, założyło księgi rodowodowe i urządzało koło Moskwy konkursowe polowania na wilki, sprowadzane w tym celu z Syberji. Tu powstał uszlachetniony typ tego charta, tak bardzo na Zachodzie poszukiwany.

Chart rosyjski odznacza się przedewszystkiem ogromnym wzrostem, dochodzi bowiem 85-ciu, nawet 90-ciu cm. i włosem długim, gęstym i mocno falowanym, w zimie gęstszym i dłuższym, niż w lecie. Na głowie włos jest krótki i gładki, zaraz za uszami bardzo długi, tworzy naokoło karku kresę, podobnie jak u Collie. Wzdłuż nóg szerokie frenzle (szarawary) i u ogona bogata chorągiew. Głowa nader charakterystyczna, ogromnie długa i wązka, w profilu czoło i nos spływają w jedną linję, między oczami lekko garbatą. Uszy nie wielkie w tył wywrócone, w afekcie podnoszą się w szpic. Maść pierwotnie płowa albo biała z płowemi, rzadziej popielatemi albo czarnemi plamami. W Niemczech i Anglji bezwzględne pierwszeństwo ma maść biała zupełnie, co najwyżej z kilku małemi żółtemi plamami. Jednak najbielszy nawet chart zawsze na głowie, w okolicach oczu lub uszu ma choć kilka płowych lub ciemniejszych włosów, widocznie jako przypomnienie pierwotnej maści.

6. Polski Chart.

Z opowiadań moich obydwóch dziadków, obu zapalonych charciarzy (jeden z nich w 82-gim roku życia, polując z chartami i sam każdego zająca dojeżdżając, nabawił się kataru i do 10 dni umarł), jakoteż z innych źródeł, wiem, że do połowy XIX. w., kiedy kolei jeszcze nie było, przyjeżdżali na jarmarki do Humania, Żaszkowa, Bałty i na kontrakty do Kijowa Tatarzy z Krymu i przywozili z sobą, obok herbaty, tytoniu, wyrobów jedwabnych i innych kosztowności, konie tatarskie i arabskie i charty krymskie. Otóż te krymskie charty u nas wilczarzami zwane, to były właśnie południowo-rosyjskie charty, te same, z których przez racjonalną selekcję wytworzył się dzisiejszy „barzoj“. Były to bardzo duże psy, włos miały mniej bogaty od dzisiejszych barzojów — bo i jedno i drugie jest wynikiem racjonalnej hodowli — maści przeważnie płowej, a brały każdego wilka w pojedynkę.

U nas nie hodowano ich racjonalnie, bo u racjonalnej hodowli przecie nikt pojęcia nie miał, tylko puszczano do reszty psiarni i tam pod opieką boską przyczyniały się do poprawy rasy domowej, która zresztą także była tatarskiego pochodzenia, po części zdegenerowana w biegu wieków, albo odnawiana od czasu do czasu na los szczęścia dokupionymi krymskimi a czasem angielskimi char

---

rozłożystym bukiem, począłem z psami schodzić w głęboki zwór, by je w stosownej chwili „podpuścić“.

Schodząc brzegiem potoku, który las przecinał, zauważyłem zupełnie świeży trop kolosalnego jelenia, który po rykowisku ściągnął prawdopodobnie z pod Beskidu na zasłużony odpoczynek i obrał sobie na chwilowe miejsce postoju nasz lasek. Że trop był zupełnie świeży, zaznaczyły i psy, które głosem po tropie prowadzić zaczęły i których utrzymać nie było się w stanie. Zdwojonym jednak usiłowaniom udało mi się ściągnąć psy z świeżego tropu i kołując, obejść lasek, tak, by psy należycie podpuścić — „Dumka“ bowiem — śliczna suka po tropowcu z gończą — nadzwyczajnie była po myśliwsku wyrobioną — a do całego szeregu zalet zaliczono u niej, że wspaniale zalegała i krzyżowała drogę starającemu się wymknąć zwierzowi. Uważając, że nadeszła już pora, tembardziej, że „Dumka“ węsząc, po pniach się wspinała i utrudniała drogę — puściłem psy ze smyczy, a w chwil kilka suka głosić poczęła „postojnego“. Głos psów chwilami zajadły i charakterystyczny, upewnił mnie, że mam do czynienia z dzikami, tembardziej, że głośno urywane „fukanie“ obijało mi się przeciągle o uszy. Mając zabezpieczone przesmyki w górze przez moich obu towarzyszy, sam „galopem“ pomknąłem w bok, by ewentualnie uniemożliwić zwierzowi przedostanie się przez jedyne wolne w gąszczach przejście przez potok w sąsiednie lasy.

Zaledwie jednakowoż zająłem wspomniane stanowisko — ogromny łomot, trzask gałęzi i stukanie zwróciło całą moją uwagę w gąszcz powikłanej, karłowej buczyny, która rozchylając się, pozwoliła mi ujrzeć kolosalnego jelenia, o nadzwyczaj silnym, ciemnym, bardzo grubem porożu, położonem po sobie, oganiającego się przed atakującymi psami stukaniem i tupaniem przednich badyli. Chwila bezsprzecznej i jedynej w swoim rodzaju emocji — gąszczak nie pozwala na strzał — a tymczasem psy i jeleń tuż-tuż; nareszcie zeskakuje na przesmyk — moment i zniknie przez potok w sąsiednim lesie, mimo ostrego psów oszczekiwania — serce bije przyspieszenie — muszka już na komorze — strzał i jeleń zaznaczywszy, przesadza potok, ostatnim odruchem, by o kika kroków ułożyć się na wieczny spoczynek, do którego „requiem“ zaśpiewała mu „Dumka“ sopranem i zawtórował basowy głos „Cygana“, głosząc borom, że ich król padł, by już się nie dźwignąć.

W chwil kilka byłem przy postrzałku, podziwiając bajeczny wieniec 16-taka wstecznika i kolosalną w mięsie sztukę, jakiej w życiu swojem, wśród całego szeregu napotykanych i ustrzelonych przezemnie jeleni wogóle nie widziałem. Poroże grube, czarne, bajecznie uperlone, po wygotowaniu o wadze 11·07 kg, łopaty z jednej strony o trzech, z drugiej o czterech śnieżnych bagnetach, rozpiętość 117 cm, w pysku jeden tylko zupełnie ciemny „grandel“ — broda mleczno-biała.

tami, które via Niemcy i Pomorze, aż do Kresów wschodnich wędrowały. Tak z jednej strony od czasów saskich importowano z Zachodu angielskie, albo raczej angielskiego pochodzenia, z Wschodu zaś tatarskie charty i to od czasu najpierwszych tatarskich i tureckich wojen.

Z zmieszania tych różnych, nieraz przypadkowych importów powstała rasa — jeżeli ją tak nazwać można — polskich chartów, jednak wskutek zupełnie nieumiejętnej, nieracjonalnej hodowli, nie przedstawia ona jednolitego i wyrobionego typu. Z tego com widział i słyszał, zdaje się, że można podzielić polskie charty na trzy wyraźniejsze typy, z tem zastrzeżeniem, że ten podział jest równie deletanckim jak cała hodowla psów w naszym kraju. Ten podział jednak mógłby stać się podstawą dla racjonalnej hodowli, gdyby się amatorowie na to znaleźli. Typy wspomniane są:

a) Typ angielski: zbliżony bardzo do greyhunda, trochę mniej szlachetny, z grubszym włosem i grubszemi kośćmi. Bardzo rozpowszechniony i szczególnie na zające używany. Posiada prawdopodobnie znaczną dozę krwi angielskiej;

b) Typ krymski: szczególnie na Ukrainie i Podolu od dawien dawna bardzo rozpowszechniony. Charty te nazywano także wilczarzami. Za młodu nieraz szczułem nimi wilki. Na zająca były mniej zdatne z powodu zbyt wielkiego wzrostu, lisa brały dobrze. Były to psy bardzo odważne, zajadłe i niesforne, uznające jednego tylko pana t. j. dojeżdżacza i były postrachem dla kundysów wiejskich, a często także i dla trzód owiec. Psy tego typu różnią się od opisanych poprzednio, dzisiejszych moskiewskich barzojów mniejszym wzrostem około 75 cm., mniej bogatym włosem i maścią przeważnie płową.

c) typ pośredni: najbardziej rozpowszechniony i ogólnie polskim chartem zwany, ma kształty i wzrost bardzo zbliżony do greyhounda, ale jest długowłosy. Na głowie i pysku włos krótki i gładki, na szyji i grzbiecie średnio długi, bardzo miękki i gładki, na szwach nieraz bardzo bogate frendzle i takaż chorągiew. U nasady uszu, charakterystyczne kosmyki. Maść płowa, albo biała w plamy czarne gniade, żółte. Psy te i zająca i lisa znakomicie biorą, ale i na wilka się nadają, tylko, że najczęściej go nie duszą, jak krymskie i barzoje, ale go osadzają dając dojeżdżaczowi sposobność dobicia go.

7. Chart azjatycki.

W Azji, jako kolebce chartów, są one po dzień dzisiejszy bardzo rozpowszechnione, szczególnie w Persji, Afganistanie i u różnych koczowniczych plemion. Tu i ówdzie pokazują się na wystawach w Anglji pojedyńcze egzemplarze przez podróżników przywiezione. Pozatem znamy je z opisów podróży. Charakterystyczną cechą azjatyckich chartów jest miękki, długi włos, bardzo bogate frenzle, ogon w trąbkę zwinięty i bardzo długie wiszące uszy z długą frenzlą naokoło jak u spaniela.

8. Chart afrykański.

Wszystkie plemiona beduińskie w północnej Afryce rozsiane, trzymają charty jako psy domowe i do polowania. Najbardziej znany z nich jest „Sloughi" z północnego Egiptu, sprowadzany nieraz do Anglji i nawet tam już aklimatyzowany. Sloughi jak wszystkie afrykańskie charty, ma włos krótki i gładki, uszy małe gładko wiszące, jak u jamnika, wzrost koło 60 cm., kształty angielskiego charta, ale nos krótszy i grubszy. Maść płowa z czarnym pyskiem. Ma to być pies bardzo rozumny i wierny. (Koniec)



Po odtrąbieniu zjawili się moi towarzysze, podziwiając „okaz", a ja po krótkiej naradzie postanowiłem pójść po konie, by jelenia ściągnąć do domu, pozostawiając mych towarzyszy na miejscu, by przed zapadającym zmrokiem oczyścili drogę.

Pewne jednakowoż niecierpiące zwłoki sprawy domowe, przygotowanie wozu etc. zajęły mi trochę czasu, tak, że już dobrze mrok opadł, jak wjechałem w las, przyświecając sobie pochodnią i kierując się do miejsca, gdzie oczekiwać mnie mieli moi towarzysze.

Jakież jednak było moje zdumienie, gdy wkrótce po wjeździe w las, do uszu moich doszły głosy pozostawionych towarzyszy, jakoby kłócących się ze sobą, przyczem mieszanina słów niemiecko-madiarskich wyrzucana z szybkością kul z kulomiotu, wydobywała się z poirytowanego gardła naszego madiara. Wściekły, że odstąpili jelenia, utrudniając odnalezienie go w ciemnościach i że zamiast przygotować drogę do zjazdu w zwór — kłócą się — zaciąłem konie i wkrótce byłem przy nich i tu nie miałem jeszcze czasu przyjść do słowa, gdy mój rozindyczony w najwyższym stopniu madiar, nuż skarżyć się, jak to on pozostał na straży przy zabitym jeleniu „und der Mietek ist weg — da ich höre der Hirsch beginnt sprechen, ich höre er spricht fort — o, Isten — ich fürchte, ich bleibe nicht da" zaczął więc krzyczeć i wołać, gdyż nie znając lasu, bał się z miejsca ruszyć — przeżył więc straszną chwilę, bo wierzy w duchy i obawia się ducha zabitego jelenia — że Mietek umyślnie się schował i t. p. historje w kółko, słuchając tego bezładnego opowiadania, tłumiłem śmiech, nie chcąc pogarszać sytuacji i wybrałem się na poszukiwania jelenia, którego „Dumka" w mig odnalazła, dając znać, w którą stronę zwrócić się należy. Po ciężkich usiłowaniach sprowadziliśmy w zwór po nocy furę, wpakowaliśmy z trudem naszego kolosa, przyczem poważnieni podali sobie bratnią, węgiersko-polską dłoń i z cudownym humorem wróciliśmy do domu, unosząc śliczne wspomnienie przeżytego po myśliwsku dnia, za prawianego komizmem nieobeznanego z lasem Węgra, któremu do końca życia odeszła ochota wypróbowania dziadowskiej lefoszówki. Jeleń ten i okoliczności towarzyszące zabiciu go stanowią jeden z niezapomnianych ogniw w całym łańcuchu myśliwskich wspomnień z gór, które niestety czas zatarł, a które ja, ku wiecznej rzeczy pamięci, w tem II-giem wspomnieniu skreślam.



A. SYKORA.

CELNY STRZAŁ W CIEMNOŚCI.

Gdy z klangorem żegnających nas żórawi i sznurami dzikich gęsi spływa tchnienie tęsknoty i melancholji na nasze polskie łany, osnute jakby welonem lśniącą się w blaskach zachodzącego słońca siecią pajęczą, myśliwy nie zaniedbuje żadnej okazji ujęcia strzelby-kochanki, aby przy jej boku pogawędzić z poszumem drzew i porachować się z mniej lub więcej zawziętymi na pracę ludzką mieszkańcami boru.

Pola ziemniaczane, tu i ówdzie poletka niezebranej kukurydzy, są ostatniemi ustępstwami bogini Ceres na rzecz Diany, która pod osłoną mroków nocnych wyprowadza z czarnych czeluści boru swe stada na żer. Złowieszczy pomruk i trzask łamanych badyli znaczy drogę zniszczenia dobytku rolnika, a zarazem drogę uciech dla serca myśliwego.

W wieczór wrześniowy, gdy słońce miało się ku zachodowi, zajechałem w sąsiedztwo do mego przyjaciela. Przed gankiem konie zaprzężone, gospodarz i jego rządca z różnego kalibru bronią na ramieniu — wyprawa myśliwska. Jedź z nami! Jeden z gajowych od kilku dni melduje, że co wieczora, równo z zachodem słońca, dziki podchodzą do gajówki i całą kukurydzę już mu zmłóciły. Masz tu strzelbę i naboje; znajdziesz w nich lotki, śrut, siekańce, gwóździe... wszystko, tylko nie kulę — strzelba strzela wyśmienicie... w prawo, w lewo, gdzie chcesz, tylko nie tam, gdzie się mierzy.

Naturalnie, że pojechałem ufny w skuteczność broni, tylko nieco pesymistycznie usposobiony co do samych dzików, czy zechcą zaraz z wieczora popchać się do gajówki w księżyc mały i za chmurami.

Na miejscu, tuż koło gajówki stojącej w lesie, w odległości może dwudziestu kroków małe poletko kukurydzy, faktycznie zupełnie zmiętoszone. Bóg raczy wiedzieć, czy świnie gajowego, czy świnie dzikie kukurydzę mu tak spaskudziły. Wszystko jedno! Zasiadam w tycznej fasoli graniczącej z kukurydzą, gospodarz gramoli się ze swoim mauserem na w pobliżu stojącą gruszę dla lepszego widoku, rządca sadowi się pod stożkiem zboża. Zmrok zapada — coraz ciemniej — okienko gajówki rzuca snop światła, jakby reflektor na pole walki — cisza przerywana poszumem boru — czasem puszczyk zahuka w chlewku świnia chrząka i czuchra się, krowa ogonem chlapie po grzbiecie i po ścianach, księżyc od czasu do czasu łypie okiem... mija kwadrans jeden, drugi, trzeci... widzę dziki — dziki i same dziki... słyszę z wysokości głos św. Huberta — budzę się. To przyjaciel woła na rządcę, który widocznie albo zasnął, albo wycofał się ze stanowiska, gdyż się nie odezwał. Mijają chwile. Przy czarnej ścianie lasu, na tle ścierniska, zamajaczyła ciemna duża plama — nie rusza się. Dzik, nie dzik — tej plamy przedtem nie było — muszki, nawet końca lufy nie widać, w strzelbie jakieś lotki, djabła warte — chybaby dzik całkiem blisko podszedł... Trzask! trzask! chrup! chrup! na 15 kroków odemnie dziki kukurydzę łuszczą. Zelektryzowany, wypatruję dzików, słysząc łamanie kaczanów i pochrząkiwanie większej partji dziczej, a tu żadnego, skutkiem pochyłości terenu i czarnego tła lasu, nie widać. W oczekiwaniu, że przecież któryś z dziczej familji wysunie się nieco na prawo, na jaśniejsze tło ścierniska, zupełnie zapomniałem o obecności gospodarza.

Nagły błysk z gruszy, ostry trzask karabinowego strzału, rozwiały nadzieję mego wyczekiwania. Gwałtowny rwetes hucząco-dudniejący uciekającego w różne strony stada, był strzału odpowiedzią. Echo mu zawtórowało i echo towarzyszyło dudnieniu dzików, coraz dalej, coraz ciszej... wszystko umilkło. Aktorzy pouciekali — przedstawienie skończone!

Powoli grusza odłączyła się od mego przyjaciela i po ostrożnem zbadaniu ujemnego wyniku strzału, życzyłem memu przyjacielowi, żeby go kaczka kopnęła. Dzika nie zastrzelił, a mnie strzał zepsuł. Jednak miał słuszne na to usprawiedliwienie, że nie słysząc mego strzału do czterech dzików, których kontury ze swego stanowiska widział, sądził, żem również opuścił widownię.

Zastanowił mnie bladawy obłoczek, który zauważyłem unoszący się z miejsca uderzenia kuli. Przypomniałem sobie zjawisko przy jednym zastrzelonym przezemnie rogaczu w późnym wieczorze jesiennym. Z chwilą uderzenia kuli o komorę zwierzęcia, białawy oparek uniósł się nad rulującym rogaczem. Gdyby nie było to wytłumaczalne różnicą temperatury chłodnego powietrza i gorącego ciała zwierzęcego, otwartego przelotem kuli, możnaby to zjawisko uważać za zdaniem domorosłych myśliwych, jako uchodzącą duszę zwierzęcia.

Na każdy wypadek kazał gospodarz gajowemu przeszukać na drugi dzień z psem okoliczną część lasu, a tymczasem z kwaśnemi minami powróciliśmy do domu.

Raniutko na drugi dzień budzi mnie uradowany przyjaciel z wiadomością, że gajowy przywiózł dzika, którego znalazł w parowie, kilkadziesiąt kroków od strzału. Dość spory wycinek miał idealnie przestrzeloną komorę. Znając doskonale swego mausera, strzelił do dzika z odległości kilkudziesięciu kroków, mierząc według składu, bez wizera i muszki, których widać było niepodobieństwem.

Dzięki temu, że znakomicie strzela kulami do dzików, zajęcy, lisów, nawet do jastrzębi i wron w locie, został mu ten strzał zapisany nie na karb przypadku, lecz sztuki myśliwskiej.

Dziki zaś nieodstraszone tym krwawym characzem i mszcząc się za śmierć swego towarzysza, już w następnych nocach dokończyły swe dzieło zniszczenia, łuszcząc wszystką kukurydzę, jaka jeszcze pozostała na tem polu.



Korespondencje.

Kołomyja, w lipcu, 1923.

Powiat kołomyjski, sąsiadujący z powiatem tłumackim i horodeńskim, stoi w porównaniu z obu tymi powiatami daleko niżej pod względem łowieckim.

Powody tego są następujące: obszary dworskie bądźto zostały rozparcelowane, bądź też są w rękach żydowskich, a że polowanie i połączona z tem hodowla nie przedstawiają namacalnego źródła dochodu, są przez tychże właścicieli zostawione na pastwę kłusowników. Południowa część powiatu, wchodząca w Podkarpacie, graniczy z lasami rządowymi, a tam przeważna część dzierżawców polowań gminnych rekrutuje się z chłopów zawodowych kłusowników, którzy na terenach przez siebie dzierżawionych już dawno wszystko wybili, a łupem ich na zasiadkach, staje się zwierzyna, przechodząca z lasów rządowych.

Oprócz kilku większych właścicieli szanujących swoje rewiry i hodujących zwierzynę, istnieje w Kołomyi Towarzystwo myśliwskie, założone przed trzydziestu laty. Towarzystwo w czasie wojny podupadło wskutek zmian walutowych, wyniszczenia terenów i niekarności członków.

Na wiosnę zawiązało się drugie Towarzystwo pod nazwą „Mieszczańskie Towarzystwo Myśliwych“, o czem zawiadomił mnie pisemnie prezes tego Towarzystwa, z prośbą polecenia opiece tego Towarzystwa „Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu“ we Lwowie.

Ponieważ jednak pomimo mego żądania, nie obznajomiono mnie ze statutem tego Towarzystwa, ani też nie zapoznano mnie z członkawi tego Towarzystwa, nie mogę tego Towarzystwa sam wobec Władz popierać, ani też polecić go opiece M. T. Ł. we Lwowie.

Nie będę podawał sprawozdań z całego szeregu polowań odbytych w powiecie, gdyż to byłoby zbyt nudne, wspomnę tylko o polowaniu w Słobódce leśnej, gdzie duży wycinek wyszedł na jednego z myśliwych uzbrojonego w śrutówkę, ten niechcąc widocznie ryzykować, usprawiedliwiał się przed dzikiem, wołając: „ja niemam kul“ — przyczem nierozumiącemu mowy ludzkiej wskazywał gwałtownymi ruchami drogę do sąsiada, który był mniej grzeczny, gdyż nie zapuszczając się z dzikiem, w żadne dysputy, wpakował mu kulę za ucho.

Andrzej Jakubowicz.

* * *



Dopiero w zeszłym roku, po częściowem zreorganizowaniu się, zaczęło się szybko podnosić i w tym roku doszło już do pięknych rezultatów.

Towarzystwo ma w dzierżawie 11 gmin, co wobec wielkiej ilości członków nie jest zbyt wiele.

Gremialne polowania były w tym roku co do ilości zabitej zwierzyny zupełnie dobre, a daty statystyczne otrzymane od prezesa Towarzystwa, podaję poniżej.

Polowanie odbyte 25. listopada w Korszowie, w 16 strzelb, dało w rezultacie 28 zajęcy i 2 rogacze.

Na polowaniu w Korniczu 16. grudnia, padło w 17 strzelb 23 zajęcy.

W Dobrowódce, 23. grudnia, w 14 strzelb, zabito 24 zajęcy.

W Korszowie, na ponownem polowaniu, w drugim rewirze, 5. stycznia. w 18 strzelb, zabito 31 zajęcy, 1 lisa i jednego rogacza.

W Dobrowódce, 27. stycznia, w 12 strzelb, 21 zajęcy i 3 rogacze.

Na lato udzielił pan pułkownik Mond pozwolenia używania raz w miesiącu strzelnicy wojskowej, gdzie członkowie Towarzystwa odbywają ćwiczenia w strzelaniu pod kierownictwem pana majora Czechowicza, gospodarza strzelnicy.

Zaborze, w lipcu, 1923.

Nagroda Zaborza.

Już trzeci rok z rzędu w dniu 10. lipca, tradycyjnym zwyczajem, gromadzi Zaborze hołdowników św. Huberta, którzy stają do turnieju z bronią kulową w ręku.

Zawody trudne.

1. Do stałej tarczy (orzeł) 100 kroków.
2. Zając w biegu, na 80 kroków.
3. Lisy w dublecie, na 60 kroków.

W tym roku i panie dzielnie się broniły; w 1 i 3-cim strzelaniu drugą z rzędu była Marja ks. Sapieżanka, ale ręka i tym razem nie zawiodła p. Kazimierza Marmarossa. On więc „Nagrodę Zaborza“ do swej licznej kolekcji nagród, przyłączył.

Z. Łączyński.

* * *

Spała, w lipcu, 1923.

Może dla czytelników „Łowca“ nie będzie bez interesu krótka, dorywcza relacja o gospodarstwie łowieckiem w Spale za rządów rosyjskich. Car dowiedziawszy się, że jelenie w Romin-ten (Prusy wschodnie) odznaczają się ślicznymi wieńcami, zapra-

gnął sprowadzić do Spały jelenie z Rominten. By carowi zamiar ten ułatwić, przysłał cesarz Wilhelm latem do Spały naczelnego łowczego z Rominten barona Sternburga. Przyjął go nader uprzejmie generał rosyjski, który podówczas Spałą zawiadywał, a łowiectwem i hodowlą zwierzyny także niby kierował. Zawiadowca i wysłaniec niemiecki mieszkali w zameczku myśliwskim w Spale. Mimo, iż to był sierpień, temsamem najgorętsza pora roku, wszystkie pokoje w Spale opalano zawsze — choć nie były zajęte. Niemiecki delegat zwrócił uwagę na zgoła zbyteczne zużycie paliwa. Generał przyznał, ale tłumaczył się, że przyjazdu cara trzeba się zawsze spodziewać. Pokazało się w dalszym ciągu, że generał zawiadywanej kniei nie znał, a hodowlą zwierzyny wcale się nie zajmował. Przydzielono więc niemieckiemu delegatowi łowczego miejscowego także niemca. Z tym przewodnikiem puścił się br. Sternburg na objazd kniei Zobaczyli odrazu dużo dobrych łąk, na których zwierzyna znajdzie wyborną paszę i gdzie można urządzić na zimę wyborne żerowiska, żłóbki i lizawki. Potrzebę tych żerowisk uzasadnił br. Sternburg, bo na pierwszy rzut oka widział w kniei, że zwierzyna niszczy silnie drzewostan. Miejscowy leśnik pokiwał smutnie głową, dodając, że na to wszystko zwracał z obowiązku swego uwagę — ale napróżno, bo siano dla zwierzyny musi być sprowadzona koleją z nad brzegu Morza Czarnego. Niestety dostawa tego siana bardzo często zawodzi, albo nie przyjdzie siano zupełnie — przyjdzie znów zapóźno, a kiedyindziej przyjdzie na czas — ale zła jakość wyklucza użycie. O zmianie tego procederu nie można mówić, bo za dużo ludzi zarabia bajkowo na tych dalekich dostawach karmy. Zarządzono wprawdzie wreszcie komisję złożoną z rzeczoznawców i weterynarzy z Petersburga — nic to jednak nie pomogło. Komisja bawiła tygodniami na koszt cara w Spale. Wystrzelano dużo zwierzyny, radzono na wielu sesjach, wreszcie komisja orzekła: „Prawda, w wydzielinach zwierzyny jest dużo substancji drzewnych, jeden dowód więcej, że zwierzynie to służy, sztucznych żerowisk nie potrzeba, a siano z nad Morza Czarnego jest bardzo zdrowym dodatkiem". Odwiedziny i uwagi Sternburga nie wprowadziły żadnej zmiany.

Uwagi te o nieudolnej i rabunkowej gospodarce w Spale podaje w swych wspomnieniach Wilhelm II („Ereignisse und Gestalten". Lipsk, 1922 na str. 157—159) i dołącza na temat pokrewny drugą anegdotę — podaną z upodobaniem przez kanclerza Bülowa z czasów jego pobytu w Petersburgu.

W owych czasach był jednym z punktów zbornych towarzystwa stolicy salon pani Durnowo. Otóż wśród licznego grona gości jeden z wyższych generałów rosyjskich uskarżał się głośno, że zawikłał się niepotrzebnie w dużą aferę pieniężną, stracił bardzo dużo, a w dodatku doznał dość nieprzyjemności z góry — od naczalstwa. Biedny generał sądził, że spotka się z pożałowaniem, tymczasem gospodyni swym zwyczajem powiedziała mu szorstko: „Mon cher général, quand on fait des saletés, il faut, qu'elles réussissent". *I. E.*

* * *

Mańkiewicze, w sierpniu, 1923.

W ostępach Ordynacji w Dawidgródku odbyły się 2 polowania na kaczki.

Na pierwszem polowaniu w podleśn. Otwerzyckiem w dn. 9. sierpnia b. r. zabito 93 kaczki, a na drugiem w podleśnictw. Tursko-Ladeckiem w dniu 11. sierpnia b. r. zabito 384 kaczki.

Polowano w 5 strzelb: 1) Księżna Ordynatowa Izabella Radziwiłł, 2) Książę Ordynat Karol Radziwiłł, 3) Hr. Zygmunt Skórzewski, 4) Generał Carton de Viard, 5) porucznik Mateusz Iżycki.

Królem polowania został hr. Zygmunt Skórzewski.

Główny zarząd Ordynacji Dawidgródeckiej
Ks. Karola Radziwiłła
S. Skibniewski.

* * *

Kraków-Dębniki, w sierpniu, 1923.

Z okazji dorocznego święta żołnierskiego, a za staraniem dowódcy obozu warownego, naszego długoletniego członka, pułkownika Beckera, oraz tegoż dzielnego zastępcy, podpułk. Schoepla, odbyło się w dniu 6. sierpnia na prześlicznie urządzonej strzelnicy garnizonowej we Woli Justowskiej premjowe strzelanie oficerskie.

Program strzelania obejmywał:

a) Strzelanie oficerskie do tarczy stałej na 300 kroków, 5 strzałów leżąco bez oparcia, 5 strzałów stojąco również bez oparcia i po 2 strzały próbne;

b) strzelanis pań do tarczy stałej na 100 kroków stojąco z oparciem;

c) strzelanie do tarczy honorowej malowanej przez porucznika Walza na 100 kroków, stojąco bez oparcia;

d) dowolne strzelanie do dzika na 200 kroków, do rogacza na 100 kroków i makao na 100 kroków.

Broń jedynie dozwolona: karabin meksykański (mauzer 7 mm.).

I-szą nagrodę, prześliczny zegar z bronzu zdobył kapitan Fr. Wiertek z K. O. W.

II-gą Zegar w oprawie z marmuru zdobył porucznik Jan Tobiasiewicz z V. Dywizjonu Taborów.

III-cią konia z bronzu major Stan. Żelawski z 20 p. p.

Dyplomy otrzymali:

IV. porucznik Jerzy Liwski, kier. Inż. Sap.
V. Kapitan Karol Majewski, 12 p. p.
VI. Porucznik Mondzelewski, 5 p. sap.
VII. Kapitan Wiktor Adel, warsztaty wojsk. kolej.

Z pań otrzymały nadgrodę:

I. p. E. Waleówna torebkę srebrną.
II p. E Giniatówna równieb torebkę srebrną.
III. p. Z. Madejska śliczny medaljon złoty.

Strzelanie oficerskie ad a) odbywało się do tarczy 12-to pierścieniowej z głową w środku. Wyniki strzelania obliczono w ten sposób. że sumę pierścieni mnożono przez ilość trafnych strzałów w promieniu pierścieni. Strzelanie pań odbywało się również do tarczy pierścieniowej.

Do tarczy honorowej dawali strzały zaproszeni goście, wśród których znalazł się i podpisany, zaproszony, jako Delegat M. T. Ł.

Obecnym był również wiceprezydent miasta Rolle. Cały czas przygrywała orkiestra 20 p. p.

Organizacja strzelania, ład i porządek były wprost bajeczne i poprostu w zachwyt wprawiały. Dość powiedzieć, że strzelało przeszło 300 osób, a strzelanie, które się rozpoczęło punktualnie o godzinie drugiej popołudniu, o godzinie piątej było już zupełnie zakończone i nastąpiło rozdanie nagród reprezentujących wartość przeszło 20 miljonów mp.

Nagrody szczęśliwym zwycięzcom rozdzielała pani pułkownikowa Kubinowa wraz ze swą uroczą kuzynką, a następnie imieniem nieobecnego komendanta korpusu jen. Czikla, który musiał wyjechać na przyjęcie Prezydenta Wojciechowskiego, złożył zwycięzcom jak najserdeczniejsze gratulacje jen. Ledochowski. Na tem zakończyła się ta prawdziwa biesiada strzelecka, owoc starań i niestrudzonych zabiegów jednego z najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych oficerów polskich, pułkownika Józefa Beckera, który objąwszy przed dwoma laty komendę obozu warownego, zaprowadził w Krakowie poprostu nową erę.

Żelazny ład i porządek w garnizonie, jakiego tu nigdy dotąd nie było, zupełne zduszenie rozwielmożnionego kłusownictwa, a przytem jak najserdeczniejszy stosunek do ludności cywilnej, która ma w dzielnym komendancie prawdziwego opiekuna i przyjaciela, oto wzór godny naśladowania.

Serdeczna gościnność i uprzejmość sprawiały, że goście cywilni czuli się zupełnie jak między swoimi i sądzę, że będę wyrazem wszystkich tam obecnych zaproszonych gości, jeśli na tem miejscu złożę aranżerom tej pięknej uroczystości jak najserdeczniejsze podziękowanie.

Juljusz Ćwierzewicz.

Komunikat.

Jesteśmy proszeni o umieszczenie następującego komunikatu:

Przy „Śląskiem Towarzystwie Łowieckiem i Rybackiem“ w Cieszynie, utworzyła się komisja celem założenia „Oddziału kinologicznego“ dla poparcia hodowli psów legawych zdolnych do pracy we wszystkich działach łowieckich.

Urządzać się ma corocznie popis wyżłów dowodnych, egzaminy wyżłów młodocianych, wyznaczać nagrody dla wyżłów, które się odznaczyły na popisach, zakupywać szczenięta lub rozdawać je między członków Towarzystwa, założoną też będzie księga rodowodowa i t. p.

W sprawie poparcia wyżej wymienionej akcji, zaprasza się hodowców psów, treserów, zwolenników i sympatyków do zgłaszania się na członków powyższego Oddziału u Zarządu (sekretarz Ludwik Badura, Zabrzydowice, powiat Cieszyn).

Zarząd stara się o urządzenie konkursu wyżłów dowodnych tego roku w jesiennej porze.

„Oddział Kinologiczny“
Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego i Rygackiego w Cieszynie.



Zamknięcie polowania.

L. 7766. *Lubaczów, dnia 19. czerwca 1923.*

Do p. Ludwika Adama w Chlewiskach.

Na podanie z 7. lutego 1923 zawiadamiam Pana, że Starostwo na podstawie § 57. lit c. ustawy łowieckiej, po porozumieniu z Wydziałem powiatowym, zamyka na przeciąg dwu lat polowanie na wszelką zwierzynę łowną w dzierżawionym przez Pana okręgu polowania gminnego w Chlewiskach.

Starosta.





Sprawy Towarzystwa.

POSIEDZENIE WYDZIAŁU M. T. Ł.

odbędzie się w dniu 10. września 1923 o godz. 5-tej popołudniu w lokalu Towarzystwa przy ul. Ossolińskich l. 11, III p.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Przerachowanie złotego polskiego na marki na miesiąc wrzesień przyjęto na 40.000 Mkp., wskutek czego wkładka kwartalna, wpłacona w ciągu miesiąca września wynosi 120.000 Mkp., prenumerata zaś „Łowca“ na kwartał dla niecz łonków M. T. Ł. wynosi 60.000 Mkp.

Dobrowolną daninę w dalszym ciągu złożyli:

P. p. Liptay Alfred 100.000, Gulik Franciszek 50.000, Żułowski Sławomir 20.000, razem 170.000 Mkp.

Odznaki członków i delegatów są do nabycia w biurze Towarzystwa w cenie po 20.000 Mkp. z doliczeniem kosztów opakowania i porta.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. Wł. Biesiadecki, Lwów. **Zastosowanie wielkości śrutu do gatunku zwierzyny.** Należy się liczyć z dwoma faktami strzelając śrutem, raz, że broń nowoczesna nie znosi grubszego śrutu, po drugie, że gęstość strzału, a więc liczba uderzających zwierzę śrucin ubezwładnia je daleko prędzej aniżeli siła przebijania. Najgrubszy śrut, jaki w broni dobrej używany być powinien jest Nr. 6 (austr. num.). W kniei wystarczą do każdej zwierzyny Nr. 10 i 8 do ptactwa drobnego (kszyk, przepiórka) Nr. 14, 13, do kaczek, kuropatw, słonek etc. Nr. 12.

†
KAZIMIERZ KOSTKIEWICZ
syn właściciela dóbr Trościańca, członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, dzielny myśliwy, zmarł w pierwszych dniach sierpnia 1923.
Cześć pamięci zacnego Towarzysza.

†
Dr. AUGUST PLODER
adwokat we Lwowie, wybitny członek tut. palestry, długoletni członek M. T. Ł. i członek Miejskiego Towarz. Myśliwych we Lwowie, dla niezwykłych zalet serca powszechnie żałowany, zmarł nagle w dniu 29. sierpnia 1923.
Cześć pamięci Obywatela i Towarzysza.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.